

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jan Niżnikiewicz

**Tajemnice starożytnej
medycyny**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział I

**Medycyna ludów
pierwotnych, szamanów,
znachorów, uzdrowiaczy**

1. Ślady najstarsze

Dwadzieścia tysięcy lat przed naszą erą w kulturze człowieka pierwotnego zamieszkującego Europę Zachodnią powstały pierwsze oznaki świadczące o zaistnieniu szamanizmu. Na ścianach jaskiń położonych w Lasceaux we Francji neandertalczyk lub człowiek pierwotny obdarzony niezwykłym talentem malarskim utrwalił rysunek, przedstawiający najstarszego szamana, którego czaszkę wieńczy imponujące poroże. Wypłowiła na skutek czasu i wilgoci farby pozwalają dostrzec niżej futrzaną czapę ze zwierzęcymi uszami, jak i wycięte w niej otwory na oczy i nos. Przenikliwe spojrzenie poszerzonych źrenic szamana nieomal przeszywa obserwatora na wskroś. Na rysunku widać też męskie genitalia niedbale przesłonięte zwierzęcą skórą z pękatym końskim ogonem.

Artysta z epoki najwcześniejszego paleolitu przedstawił członka plemienia, dokonującego szamańskiego rytuału lub czarów, mających na celu uzyskanie pomyslności dla czegoś, co podówczas było ważne. Nie wiadomo, czy chodziło o skuteczność łowów, powodzenie wojennej, a może o przychylność duchów w uwalnianiu plemienia lub jego członków od chorób. Do końca nie wiemy, czy rysunek ów naprawdę przedstawia szamana, wróżbitę, znachora czy też uzdrowiacza. A może depozytariusza ówczesnej wiedzy tajemnej, której zakresu możemy się jedynie domyślać, gdyż archaiczna obrzędowość dotycząca kultury paleolitycznej jest nam zupełnie nieznaną. Gdzieś z niebytu zdarzeń przebrzmiewa jedynie ciche i odległe echo zawarte w obrzędach ostatnich kilku tysięcy lat znanej nam historii. Z tego względu dyspersja poglądów dotycząca najstarszego szamanizmu ma głównie charakter spekulacyjny.

Dziesięć tysięcy lat po powstaniu malowideł w Lasceaux, czyli 15 tysięcy lat p.n.e., a więc w epoce zwanej starszą kamienną, w jaskiniach różnych części świata pojawiają się kolejne malowidła, przedstawiające ludzi oraz zwierzęta. Użyte środki artystyczne – zdumiewająco nowoczesne – operują skrótem myślowym, stylizacją, wyobrażeniami ruchu, które w lapidarny sposób przekazują najważniejsze treści, głównie dotyczące łowów, walki, a co jest odkrywczą nowością – kobiety. Cel wykonania tych malowideł był jasny, chodziło o pozostawienie potomnym przekazu z przeszłości, mówiącego o sile i dobrych warunkach rozwoju plemienia. W tym też czasie w wielu miejscach Europy i Ameryki Południowej powstały pierwsze posążki, przedstawiające postacie kobiet z wyraźnym zaakcentowaniem cech płciowych. Nieliczne uwieczniają prowokacyjną atrakcyjność ówczesnych miss, ideałów paleolitycznej piękności, jakim była ciężarna Ewa – o szerokich biodrach, obfitych piersiach i głowice wdzięcznie ozdobionej wymyślną fryzurką – którą można dostrzec w figurce noszącej nazwę Venus z Willendorfu. Być może ten i inne posążki przedstawiające lokalne piękności łączą się z przekonaniem o wyższości istoty żeńskiej, która w ówczesnych wierzeniach była jednocześnie bóstwem świata podziemnego, wiatrów, ognia i powietrza, a co najważniejsze dawczynią życia. Taki stan ówczesnych poglądów lub kultów łączy się z wielotysiącletnim okresem historii, kiedy stosunki społeczne regulowały prawa matriarchatu, systemu daleko sprawniej przenoszącego zdobycze wiedzy i umiejętności, niż mogliby to uczynić mężczyźni przedwcześnie ginący w walkach i łowach.

Sprawą nierozstrzygniętą są spekulacje obecne, dotyczące magiczno-ochronnej czy mistycznej roli posążków kobiet, ale nie ulega wątpliwości fakt, iż ciąża, płodność i macierzyń-

stwo były zagadnieniami kluczowymi i priorytetami, które nie zmieniły się do czasów obecnych. Główna różnica, zdaniem autora, polega nie tyle na braku wiary w magiczną moc kobiet, co leży w niedostępności nabycia właściwych figurek.

Istnieje współcześnie dział nauki zwany paleopatologią – badający pozostałości z późnego okresu epoki kamiennej – który pozwala na określenie rodzaju chorób trapiących ludzi żyjących w czasie od 15 tysięcy do 6 tysięcy lat p.n.e. Dotyczą one głównie zwyrodnień jaskiniowych, czyli schorzeń kośćca u osobników mieszkających przez całe życie w zagłębieniach skalnych. Stwierdzano złamania i wygojone stany zapalne, próchnicę zębów, ślady zastarzanych urazów.

Od około 6 tysięcy lat p.n.e. we wszystkich częściach świata, w których osiedlił się człowiek, odnaleziono ślady przeprowadzania zabiegów polegających na otwieraniu jamy czaszki. W okresie neolitu najczęściej posługiwano się metodą stopniowego zeszlifowywania warstw kości celem zmniejszania grubości ścian, potem stopniowego wycinania w niej otworów. W końcu około 5 tysięcy lat p.n.e. wynaleziono trepan, narzędzie, które poprzez stopniowe wkręcanie drugą częścią – tnącą – dokonywało wycięcia kolistego fragmentu kości. Istnieje całkowita pewność, że zabieg kraniotomii wykonywano nie tylko na czaszkach zmarłych, lecz przede wszystkim wówczas, gdy istniała konieczność repozycji zaklinowanych złamań, usuwania ciał obcych, leczenia padaczki czy silnych bólów głowy, chociażby takich, które występują w guzach mózgu. Znaczna część osób operowanych kamiennymi narzędziami, w warunkach całkowitego braku aseptyki oraz znieczulenia, przeżyła zabieg, o czym zaświadczają blizny kostne zmniejszające rozległość ubytków, co dowodzi, że proces gojenia trwał miesiącami, o ile nie latami. Zupełnie nie wiadomo, kim byli owi najwcześniejsi neurochirurdzy, jakimi kryteriami diagnostycznymi się posługiwali, skąd brali doświadczenie. Nie wiemy też, czy wiara w moc ozdrowieńczą towarzyszyła ówczesnym szamanom, czarownikom, wróżbitom, a może tajemniczemu depozytariuszowi tej jedynej umiejętności, jaką następnie przekazywał w spadku kolejnemu otwieraczowi czaszek.

Najczęściej usuwano fragment kości czołowej lub skroniowej, gdzie jest ona najcieńsza i najczęściej narażona na urazy lub atak przeciwnika. Nigdy nie znaleziono ubytku kraniotomijnego w okolicy potylicznej, w miejscu gdzie znajduje się spływ żylnych zatok, gdyż jakiegokolwiek zabiegi w tym miejscu łączyłyby się z krwotokiem nie do opanowania. Można domniemywać, że o tym fakcie wiedziano.

Do czasów obecnych nie przetrwały dowody, na podstawie których można by ustalić przyczyny, dla jakich tysiącami samą czaszkę, a nawet jej części otaczano kultem szczególnym. Nie wiemy też, dlaczego ludzie żyjący w epoce kamiennej, dokonywali rytualnych oddzielnych pochówków głów odseparowanych od reszty ciała, co zawsze było zabiegiem obscenicznym. Podobnie nie odkryto, z jakich względów wycinano z nich fragmenty kości. Być może celem sporządzenia magicznych amuletów poświęcanych przez szamanów, a noszonych „dla pamięci” lub też przejęcia cech zmarłego i zapewnienia tą drogą wartości wynikłych z wiary w magię ochronną. Po dziś dzień koczownicy afrykańskiego buszu czy amazońskiej puszczy przemierzają się po rozległym terytorium, taszcząc w bagażu czaszki członków rodziny, jak i zabitych wrogów. Pytany o cel takiego postępowania jeden z wodzów odrzekł: „Mimo śmierci trzeba je zachować”. Podobne wierzenia panowały do niedawna wśród nowogwinejskich łowców głów, którzy posiadli umiejętność zmniejszania ich wielkości poprzez preparowanie wraz ze skórą w dymie ognisk, używając technologii polegającej na dokonaniu szeregu zabiegów termicznych i chemicznych, pozwalających na redukcję rozmiarów głów do wielkości pomarańczy, z jednoczesnym zachowaniem dokładnych rysów twarzy. Potem wiszą one jako totem w narożach chaty, zaś podczas walk robi się z nich naszyjniki, świadczące o wyjątkowych walorach wojownika, jak i potężnej mocy ochronnej przejętej od zmarłych przeciwników, od których tą drogą odzyskano siłę i męstwo.

W Europie szamanizm z całą pewnością znali Celtowie, zaś magia i obrzędy druidów, którzy stworzyli organizację państwową o wiele silniejszą niż późniejsze królestwa wojowników i rycerzy, rozniosły go następnie po całej Europie. W innych krainach rozwijał się autonomicznie w oparciu o lokalne warunki przyrodnicze i geograficzne. Są różnice między szamanizmem na Syberii, wśród Eskimosów i aborygenów oraz plemion Ameryki Południowej. Wszędzie i zawsze odwoływano się w nim do magii, używano świętych roślin – jak jemiola i peyotl – i przywoływano wpływ totemicznych zwierząt – niedźwiedzia, wilka czy orła. Nie zrobimy błędu, zakładając, że tajemne rytuały czarnoksiężskie istniały od czasów pradawnych, towarzysząc każdej kulturze i cywilizacji, i w gruncie rzeczy nie ma znaczenia przywoływanie nazw osób, które wprowadzały się w trans siłą autosugestii czy przez spożycie halucynogennych trucizn. Można zastanawiać się, czy osnowa tej i każdej innej magii leży w samej definicji, polegającej na stosowaniu szerokiego systemu praktyk, których celem było uzyskiwanie efektów znajdujących się w sprzeczności z poznanymi prawami natury. A może takimi z tych praw, o jakich istnieniu nie odważamy się śnić?

Według jakich kryteriów kwalifikować niesłychany wpływ, jaki od dawna człowiek wierzy na człowieka? Dowodami historycznymi są opisy cudownych uzdrowień dokonywanych przez królów – pomazańców bożych – leczących nakładaniem rąk. Za francuskimi monarchami z dynastii Merowingów, którzy chlubili się pochodzeniem z linii Jezusowej, podążały rzesze chromych, kalekich, głuchych, niewidomych, a także paranoików, wstrząsanych konwulsjami nieszczęśników liczących na cud i będących świadkami cudów. Czy wiara w uzdrawiającą moc królów, noszących w koronie drzazgi z Świętego Krzyża, w sposób zasadniczo istotny różniła się od tej wcześniejszej o tysiące lat, jaką wykazywali ludzie neolitu w stosunku do szamanów dokonujących rytualnego otwierania czaszki? Jak dalece opis ewangelisty Marka, mówiący o wypędzaniu przez Jezusa demonów z ciał chorych, czy też uzdrowienia głuchoniemego, któremu „włożył palce swoje w uszy jego, splunął i dotknął jego języka” (Mk 7,33), różni się od cudów dokonywanych wśród osób wybranych z tłumów przez świętą Hildegardę? Jak wielu spośród wyniesionych na ołtarze można uznać za działających w dobrej wierze w oparciu o trans modlitewny?

Na przestrzeni tysięcy lat różnica w wierze polegała przecież na innym obrazie Boga. Były czasy, w których istnieli bogowie pradawni, funkcjonujący w okresie wcześniejszym o lat tysiące zanim napisano Stary i Nowy Testament. Bogowie skuteczni, z własną jedyną objawioną prawdą, których posagi tkwią nadal nieodkryte w mule, piachu czy glinie. Dotąd na pytania te nie ma jednej i jasnej odpowiedzi, a nam – żyjącym tu i teraz – pozostaje rola widzów oglądających niepojęte zamiary Najwyższego.

2. Szamańskie echo megalitów

Mimo istnienia „boskiej” odpowiedzi, iż „początek nastąpił wówczas, kiedy nie było początku”, my – ludzie – mamy zakodowaną w psychice konieczność utrwalania zdarzeń w czasie. Dzieje dowiodły, że niewieczniona pamięć wydarzeń nieodwołalnie ginie. Fenomen ten w całej rozciągłości dotyczy początków pojawiania się zrębów pierwotnej religii pod postacią hermafrodytycznego Androgyna, bóstwa noszącego zarówno cechy męskie, jak i żeńskie, bóstwa, które w miarę rozwoju człowieczej świadomości eksploduje dziesiątkami kultów i religii.

Narodziny Androgyna następują gdzieś w samych początkach ery megalitycznej, która w okresie między piątym a drugim tysiącleciem przed Chrystusem objęła całą Europę i północ-

no-zachodnią część Afryki. Na ogromnym obszarze odnaleziono podobne do siebie kamienne konstrukcje, zbudowane według orientacji geograficznych, wzorów architektonicznych odzwierciedlających ówczesny „imago mundi” – obraz świata widziany w postaci przenikających się sfer lub kół, wewnątrz których – w podziemiach – wykonywano korytarze, komory grobowe i ołtarze. Budowle te, niekiedy ogromnych rozmiarów, rozbudowywały i użytkowały setki pokoleń, wykazujące doskonałą wiedzę astronomiczną, korelując osie budowli według ścisłych kierunków geograficznych, gwiazdozbiorów, punktów letnich i zimowych przesileni oraz właściwości geopatycznych wybranych starannie przez ówczesnych różdżkarzy.

Doktryna religijna tego okresu jest ewidentnie eschatologiczno-kosmiczna, podkreślająca rolę śmierci i zmartwychwstania bóstwa, wybitnie akcentująca ogromne znaczenie problematyki związanej z życiem pozagrobowym. Pracentrum tej kultury nie zostało dotychczas odkryte, ale istnieją poglądy z wielu względów wiążące je ze spuścizną Atlantów.

Religia – z jej monumentami rozszanymi od Brytanii i Irlandii po Maltę i Baleary – świadczy o pulsacyjnym wędrowaniu idei krzewionej przez kastę ówczesnych misjonarzy, którym nieobca była sztuka nawigacji i żeglowania. Do końca nie wiemy, czy byli to najwcześniejsi kapłani, czy rolę tę wykonywali kolejni zstępni pierwotnych szamanów, pragnący poszerzyć podstawy kultu o nowe terytoria i zwiększyć w ten sposób jego dynamikę i siłę oddziaływania. Nie czynili niczego więcej niż obecne misje, dokonujące analogicznych zabiegów w różnych częściach współczesnego nam świata. Przez szamanów epoki megalitycznej w zbiorowej świadomości ówczesnych ludzi (takie pojęcie nie jest już abstrakcją) doszło do najwcześniejszej transformacji, polegającej na zauważeniu wartości nowych znaczeń oraz zupełnie innego stosunku do Kosmosu i zaświatów.

W tym samym celu – dla nawiązania nieustannej łączności między światem żywych i umarłych – społeczeństwa megalityczne wznoszą kamienne konstrukcje. W największych znaleziono grobowce rodowe lub rodzinne, a może plemienne, które przez stulecia służyły rytualnym ceremoniom pogrzebowym.

Wówczas na arenie dziejów pojawił się szaman, będący pierwszym osteologiem, znającym dokładną anatomiczną budowę ludzkiego kośćca. Stał się nieodzowny, bo megalityczny obrzęd pochówkowy składał się z dwu faz. Podczas pierwszej umieszczano ciała w wyznaczonych do tego celu miejscach, gdzie spoczywały aż do zakończenia procesów gnilnych, czyli do chwili, gdy z łatwością można było wyjąć kości z tkanek. Wówczas przystępowano do fazy drugiej. W czasie dorocznych świąt wyciągano kości ze zwłok i przenoszono na miejsce ostatecznego złożenia w komorze grobowej. Wtenczas dokonywano pochówku dekompozycyjnego. Wszystkie kości łamano, niekiedy uzupełniano braki kośćmi wcześniej zmarłych, a następnie składano ponownie, niemal jak najwcześniejsze puzzle, nadając im nowy, embryonalny kształt.

Nie wiemy, jaki mistyczny cel przypisywano tak dalece skomplikowanej procedurze, która musiała być obsceniczna. Zapewne rekonstrukcja całych szkieletów wywodziła się z samego dna zamierzchłych wierzeń szamańskich – w jakich przeprowadzanie zabiegów na zmarłych było powtórzeniem procedur inicjacyjnych, które za życia przechodził każdy z szamanów, aby móc wykonywać rolę akuszera dusz – intuicyjnie lub świadomie pojmując, że nieustanna wędrówka między życiem a śmiercią, wiecznością a zmartwychwstaniem stanowi główną oś człowieczeństwa.

3. Rozwój szamańskiej specjalizacji

Odwieczne poszukiwania ludzi pierwotnych prowadzące do zmiany rzeczywistości wywoływały się zawsze z potrzeby, konieczności lub ciekawości. Tak było od samego zarania dziejów. Wyobraźmy sobie taką sytuację. Pierwotna grupa osadników, szukając pożywienia, tropi mamuta. Nagonka złożona z kobiet krzykiem usiłuje zapędzić go do wąwozu, gdzie w wyniku starcia zwierzę zostaje uśmiercone, lecz wielu łowców jest rannych. Matki i żony grupują się wokół cierpiących, przemywają rany, nakładają opatrunki, unieruchamiają zwichnięcia i złamania, bo tak się działo najwcześniej. Pierwszymi lekarzami zawsze były kobiety. Delikatnością, spokojem i dokładnością przewyższały mężczyzn. One też, nieuczestniczące w łowach bezpośrednio, były doświadczonymi obserwatorami przyrody. W wędrówkach po pożywienie wśród borów i sawann mogły dostrzec sposoby, jakimi leczyły się zwierzęta, co jadły, gdy były chore, jakich sposobów używały, chcąc usunąć pasożyty. Dalszy etap zdobywanej wiedzy wynikał z chęci zrozumienia leczniczego działania ziół, traw, liści, kory i owoców różnych gatunków roślin. Znaczna część spostrzeżeń dotyczyła skutków działania naturalnych specyfików i zapewne była wypróbowywana na sobie samych. W ten sposób kobiety poznały działanie środków działających przeciwbólowo, halucynogennie, rozkurczowo, odkażająco, antyseptycznie. Dalsze poszukiwania szły w kierunku leczenia chorób, które były straszną oczywistością, z jaką człowiek walczył od początku dziejów. Nieokiełznana przyroda w swojej groźnej potędze wymagała, aby się przeciwstawić jej niszczycielskiej mocy.

Dlatego na jakimś etapie dziejów pojęto, że jedynym sposobem przetrwania jest zrozumienie oddziaływania przyrody na człowieka. Z tego względu jedną z pierwszych specjalizacji jaka pojawiła się w plemienu była znachorka, osoba zajmująca się wyłącznie leczeniem. Rezultaty jej działań w jakiś sposób nagradzano. Może otrzymywała większy przydział żywności, a w okresach spokoju uprzywilejowaną pozycję społeczną. Oczywiście w miarę upływu czasu pozostali członkowie ludzkiego stada oczekiwali od znachorek większej skuteczności, co zmuszało je do intensywniejszych poszukiwań, a mówiąc językiem współczesnym do badań. W taki sposób odkryto antyseptyczne działanie substancji zawartych w ślinie udomowionego psa i pozwolono mu lizać rany, przekonano się o odkażającym działaniu dzikiego czosnku i cebuli. Zapewne pierwsze plastry na oparzenia i rany wykonywano z błon roślinnych i wosku. Na pewno stosowano miód pszczeli jako środek regulujący trawienie. Tam gdzie było to możliwe, korzystano z naturalnych kąpielii w źródłach siarkowych. Poznano różnorodne działanie olejków eterycznych pachnących roślin. W ten sposób zyskiwano wiedzę praktyczną przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Struktura ówczesnych plemion – oparta na matriarchacie – czynności tak ważne jak leczenie gwarantowała kobietom. Ciężkie próby biologiczne wiążące się z ciążą, porodem i położeniem stanowiły nieustanne pasmo zagrożeń zarówno dla nich samych, jak i dla przetrwania plemienia. Codziennym problemem stała się duża śmiertelność noworodków, stąd podjęto próby porodu w pozycji siedzącej lub w wodzie. Intuicyjnie czy też na podstawie obserwacji wiadano, że narządy rodzącej nie powinny stykać się z podłożem, a sam proces narodzin był dokonywany do wnętrza świeżo zdartej z zabitego zwierzęcia skóry, znacznie czystszej niż cokolwiek innego znajdującego się pod ręką. Pojawiły się też pierwsze akuszerki znające fazy porodu, umięjące udzielić pomocy nie tylko w odpepnięciu dziecka, ale i w wydobyciu łożyska.

Później, czyli około 6 tysięcy lat p.n.e., z chwilą łączenia się plemion łowców w większe grupy, matriarchat stracił na znaczeniu. Uprzywilejowana rola znachorek stała się przedmiotem zazdrości mężczyzn. Plemię zaczęło zauważać, że znachorki są bezradne wobec epidemii bądź zagrożeń nieuchwytnych zmysłami „z przyczyn złego ducha”. Ludzie – obserwując burze, pioruny, gwałtowne zmiany pogody podejrzewali istnienie czynnika sprawczego umiej-

scowionego gdzieś wysoko, mogącego w dodatku zasadniczo wpłynąć na ich los. Zaczęto się do niego odwoływać, składać ofiary chcąc „to wielkie” ubłagać, przeciągnąć na swoją stronę. Co bystrzejsi zorientowali się, że zaistniały odpowiednie warunki dla powstania nowej specjalności – pośrednika między mocami natury a resztą plemienia. W ten sposób na arenę dziejów wkroczył pierwszy czarownik, przywoływacz duchów. Zajmował się on zarówno leczeniem jak i sprowadzaniem deszczów, wskazywał najlepsze miejsca dla udanych łowów, zmuszając współbraci do zmian kierunków okresowych marszów, wróżąc dobre lub złe skutki przedsięwziętych działań, polowań czy wojen. Oczywiście takowy osobnik funkcjonował na cienkiej linii oczekiwań i uzyskiwanych rezultatów, stąd musiał być kimś, kto przezornością, sprytem, doświadczeniem lub wiedzą w sposób istotny wyróżniał się od reszty. W przeciwnym wypadku na jego miejsce trafiał wyżej kwalifikowany konkurent. Pozycja, jaką zajmował, była godna zazdrości, gdyż – obcując z wszechmocnymi siłami natury – zyskiwał wyłączność dla sprawowania funkcji, decydujący głos co do zamiarów plemienia, jadło bez ograniczeń. Zapewniano mu najwyższy stopień bezpieczeństwa, najbardziej komfortowe warunki życia, mógł wybierać kobiety, z którymi chciał spędzić noc czy też życie. Oczywiście miał więcej dzieci, liczną rodzinę, która dodatkowo powiększała jego dostatek

Spróbujmy wyobrazić sobie pierwszego czarownika lub szamana. Niewątpliwie jest nim najbardziej inteligentny członek plemienia, bystry obserwator, dobry analityk, świetny aktor idealnie panujący nad nastrojami. Ale przecież ogrywanie takiej roli bez przerwy jest niemożliwe. Wiedząc, że jego pozycja jest przedmiotem zazdrości, nieustannie pragnie ją umocnić, chce przekonać wszystkich, że jak nikt inny okiełznał tajemne moce, którym okresowo użycza własnego ciała, aby mogły weń wejść w sytuacjach szczególnych, lecz jednocześnie w sposób kontrolowany przez niego samego. Dlatego często wędruje na pustkowia, medytuje, szuka objawień, chcąc każdą komórką ciała zjednoczyć się z przyrodą, być jej szczególną częścią, częścią obdarzoną ludzką świadomością. Stan ten – mający wiele wspólnego z późniejszymi praktykami druidów celtyckich i joginów indyjskich – odnajdziemy wszędzie tam, gdzie istnieli ludzie, niezależnie od tego czy działo się to wiele tysięcy lat temu, czy obecnie. Czarownik, zaklinacz, wieszczek lub szaman, aby nabrać uzdrawiających i wróżebnych mocy, musi uzyskać specyfikę wejścia w trans, zyskać poczucie wewnętrznego naznaczenia, znakomitego zwiększenia osobowości, a niekiedy jasnowidztwa. Dopiero wtedy widzi zarówno duchy, jak i duszę, potrafi usunąć skutki chorób gnębiących ciała i umysły. W sposób istotny różni się od utalentowanego psychoterapeuty i psychiatry tym, że głęboko wierzy w ponadludzką moc nadaną mu przez Boga lub siły przyrody. Jeśli nie jest blagierem, o czym jego czciciele szybko mogą się przekonać, jego moc lecznicza jest szczególnie silna. Dowodem na prawdziwość istnienia tak potężnych psychicznych sił są współczesne świadectwa aborygenów o istnieniu „śmierci zadanej”, a oddalonej w czasie. Australijski czarownik wyznaczał przestępcom ostateczną karę za popełnienie niektórych najstraszniejszych przewinień, na przykład kradzieży żywności w okresie głodu. Istnieją świadkowie spełniania się zwolnionej, przychodzącej etapami – na oczach plemienia – śmierci. W społeczeństwach prymitywnych kary zawsze były nieuchronne, a do egzekwowania prawa wyznaczano osobę wtajemniczoną w arкана magii, którą desygnowano do tej roli nie tylko z uwagi na posiadaną moc, lecz także z uwagi na fakt iż – z racji zajmowanej pozycji – znajdowała się poza nakazami zemsty rodowej.

W miarę rozpadu społeczeństw pierwotnych, porzucenia zbieractwa i łowiectwa na rzecz rolnictwa i hodowli, następuje budowa osiedli, gdzie rola pierwotnego czarownika ulega zasadniczej modyfikacji. Przejmuje on pozycję osiadłego szamana, używającego nowych, zmienionych metod.

4. Seans terapeutyczny

Spróbujmy uruchomić wyobraźnię. Widzimy prymitywne siedlisko ludzkie, gdzie między polami znajdują się gliniane umocnienia, a na ich szczytach widać zaostrzone paliki zmuszające ewentualnych napastników do przebywania w miejscu dogodnym dla obrońców. Czy jest tam brama? Tak, nieco z boku. Przy niej leżą potężne, okorowane pnie – zasuwane w drewnianą obejmę całkowicie zamykającą wejście. We wnętrzu osady są chaty, niektóre trzcino-we, inne to ziemianki przykryte gałęziami lub liśćmi drzew. Widać pola z uprawami, a na nich pracujących ludzi. Zaostrzonymi palikami lub kamiennymi motykami przewracają ziemię. Obok inni wypalają trawy, a nieco dalej spoceni mężczyźni karczują dziewiczy las. Wokół kręcą się dzieci, psy, domowe ptactwo. W drewnianych klatkach przewiązanych rzemieniami znajdują się upolowane w sidła i wnyki zwierzęta. Wejdźmy do wnętrza osady. Przed drzwiami, których otwory przykrywają roślinne maty, kręcą się kobiety. Część z nich nosi nie tak jak to bywało dawniej skórzane, lecz nowoczesne supermodne płócienne stroje. Bogatsze ręce i szyje przyozdobiły spiralnie kręconymi bransoletami lub naszyjnikami z brązu i kości. U biedniejszych można we włosach zauważyć wianki wplecione z traw i kwiatów. Dobrze, że nas nie widzą. Mijamy stojący na palach dom mężczyźni. Możecie zapytać, gdzie jest dom kobiet? Też jest, ale poza osadą, tam odbywają się porody. W sporej odległości od niego, na wzgórku obok źródła widać szałas, z którego szczytu unosi się w niebo smużka dymu. Uchylmy powoli płachtę przykrywającą prostokątny otwór drzwi i wejdźmy do środka. W pomieszczeniu malutkimi płomyczkami jarzą się węgielki. Wszędzie pełno dymu, w którego obłoczkach widać siedzącego w kucki szamana. Obok na półkach z gałęzi leżą insygnia jego zawodu. Czapa z frędzlami albo przysłoną dokładnie zakrywającą oczy, bo – jak wiadomo – duszę dostrzega nie tylko wzrokiem, lecz całym sobą, doświadczeniem pozazmysłowym i ekstazą. Spójrzmy, co znajduje się dalej. Na sęczku wisi niezwykle ciężki rytualny strój. Jest nim kaftan haftowany w figury zwierząt, mogących opętać chorego, a więc bardzo ważnych w procesie odczyniania uroku; są też grzechotki, błyszczące – chyba z miki – lusterka, guzy przypominające metalowe tarcze, najrozmaitsze ornamenty z przedziurkowanych kolorowych kamyków, układających się w obraz gwiazd, słońca, księżyca i innych trudno rozpoznawalnych kształtów, pośród których znajdziemy elementy przypominające spiczaste kobiece pierśsi. Strój ma rękawy, do których doszyto starannie wystrugane z drzewa atrapy ludzkich kości. Na stelażu leży inna obrzędowa czapa – futrzana, obszyta wokół dzwoneczkami. Na jej szczycie piętrzą się ogromne rogi byka lub bawołu, symbolizujące anteny mocy magicznych. Nieco z tyłu widać maski obrzędowe z grzywami z ptasich piór i ogonków zwierząt, inne – skórzane lub metalowe – pomalowane sokiem roślin z karykaturalnym grymasem przerażenia otwartych lub zaciśniętych ust. W maskach brak otworów na oczy, gdyż wzrok wewnętrzny szamana dostrzega rzeczywistość wyraziściej, niż ma to miejsce u zwykłych śmiertelników.

Przy prawej ręce siedzącego widać luk i obite skórą różnej wielkości bębny, wokół których za pomocą sznureczków doczepiono dzwoneczki, grające pręty, kości. Wszystkie te przedmioty razem służą przemianie szamana w swoisty transformator energii. Przy ognisku leży tacka na posiłek i gliniany kubek na wodę. Niczego więcej nie dojrzymy, szaman – aby posiadać dar leczenia, stanowienia o prawdzie, jak i mocy przepowiadania przyszłości – dawno pozbył się dóbr materialnych; przecież nic nie przeszkadza tak jak one w skupieniu sił duchowych. Dobrze o tym wiedzą tybetańscy i hinduscy joginowie, idący w świat w poszarpanej szacie z dziurawą miską w dłoni, aby to co mają, nie wzbudziło czyjegoś pożądania i pozwalało na nieskrępowane komunikowanie się z Kosmosem. Musimy wyjść z szałasu, bo ktoś się zbliża. W poprzek przez strumyk biegnie gromada podnieconych ludzi, głośno wy-

wołujących szamana. Wychodzi im naprzeciw, milczy, nie mówi dlatego, że po prostu wie, dlatego słucha. Wkrótce przestawiono mu cały problem. Jedną z dziewcząt nagle opuścił rozum. Jej ukochany zginął na polowaniu, biedna od kilku dni gorączkuje, jest zamroczona. Rodzina trwoży się, bo nie tak dawno w sąsiedniej wiosce podobne objawy miała kobieta, która wkrótce zmarła. Przybysze proszą o ratunek. Szaman odpowiada im potakującym skinieniem głowy.

Wkłada rytualny strój, w ręce bierze bęben i łuk i podąża do osady. Podchodzi do chaty, w której przebywa chora dziewczyna. Przeżalone jego wyglądem dzieci umykają pod ochronę matek. Rodzina wynosi chorą na środek placu i kładzie na ziemi w pobliżu domu mężczyzn. Na wieść o tym, co się niebawem zdarzy, do osady podążają mieszkańcy. Wokół chorej grupuje się cała ludność, gdyż wie, iż siła bogów plemiennych i rodowych teraz z całą mocą otacza nieszczęśliwą dziewczynę, ale – jak dowodnie widać – jest nieskuteczna. Mimo to zebrani żywią silne wewnętrzne przekonanie, że w ich obecności szaman dokona właściwego obrzędu i że pojawi się szansa. Wszystkie oczy zwrócone są na maga. Gdzieś z jego wnętrza rozlega się basowy, nikomu nieznan, przerażający głos wywołujący po imieniu złe duchy. Jego usta są zaciśnięte, lecz słychać straszliwe słowa. Nikt z współplemieńców nie wie, że jest to związane z cierpliwym trenowaniem brzuchomówstwa. Wśród zebranych narasta groza, gdy szaman głośno oświadcza, że umysł chorej – poza osobistym nieszczęściem – został zmacony na skutek opętania przez ropuchę, na którą niedawno nadepnęła. Co gorsza, była ona totemem jej ukochanego, a więc proces leczenia będzie trudny, bo płaz składa teraz w ciele chorej potomstwo. Szamanowi odpowiada cisza i błagalne spojrzenia. Ludzie zwierają się tak ciasno, że każdy przywiera do sąsiada. Szaman poleca rozpalić ognisko, do którego wrzuca wydobyte z zakamarków szaty tajemnicze proszki wyzwalające pachnące i cuchnące dymy, a wokół chorej rozsypuje magiczny krąg, jeśli jesteśmy w Europie to z jemioly, a jeśli w Ameryce Południowej – z tytoniu. Rozpoczyna śpiew, w którym opowiada bogom o roli, cnotach i zasługach chorej, wydaje jej dobrą opinię.

Dalsze czynności rozpoczyna od uzdrawiającego masażu. Cały czas wykrzykuje prośby do bogów o pomoc, przeklina ropuchę, określa ją najgorszymi, najbardziej wulgarnymi słowami. W końcu zaczyna taniec, którym w rytm bębena i dzwoneczków, świstu kręconego nad głową łuku odpędza złe moce. Szaman wiruje niczym dziecięca zabawka – bąk, podskakuje, a wówczas słychać dźwięki grzechotek, metalowych talerzyków, wydrążonych kostek i grających prętów. Przyspiesza dynamikę obrzędu, wpadając nagimi stopami w żar ogniska, w którym kręci się jak zwijająca i rozwijająca sprężyna aż do chwili, gdy nabędzie pełnego przekonania, że endoosmoza między nim a chorą oraz widzami została nawiązana w całości, misterium uzdrawiania wypełnione jest do końca, a wszelkie oczekiwania widzów zostały zaspokojone. Wówczas przystępuje do odegrania wielkiego finału. Z jego ust i nosa zaczyna lecieć krew. Wirując, zbryzguje nią zebranych, dokonując spektakularnego oczyszczenia środowiska. W końcu pada na ziemię i krzycząc niezrozumiałe słowa, przywiera ustami do pępka chorej, rozpoczynając akt ssania. Z jego ust wypływa czerwono podbarwiona ślina. Trwa to tak długo, aż we wnętrzu zagłębienia, powstałego na skutek ucisku przez jego zęby, pojawia się spore jezioro krwi. Wówczas szaman podnosi się, wypluwając z ust na rękę małą, okrwawioną żabę i kilka kijanek. Widać jak się ruszają. Ukazuje je zebrany, a następnie wrzuca do ogniska. Chora otwiera oczy. Na twarze rodziny, przyjaciół i znajomych wraca radość, a ich wzrok pełen szacunku i wdzięczności omiata sylwetkę odchodzącego szamana.

Zapewne Claude Levi-Strauss powyższą sytuację – wymyśloną w całości przez autora – zinterpretowałby analogicznie, jak tego dokonał w „Antropologii strukturalnej”, pisząc o położnicy, której w porodzie pomagał szaman.

„Wszystko odbywa się tak, jak gdyby odprawiający modły próbował przez cierpienie wywołać u chorej – której uwaga jest na pewno osłabiona, a wrażliwość wzmożona – podobne przeżycie, w sposób bardzo dokładny i intensywny, dotyczący jakiejś pierwotnej sytuacji,

aby spowodować mentalne postrzeganie najdrobniejszych szczegółów. Chodzi o to, żeby ta sytuacja wywołała szereg zjawisk, których sceną będą ciało i wewnętrzne organy chorej. W ten sposób nastąpi przejście od banalnej rzeczywistości do mitu, od świata fizycznego do fizjologicznego, od świata zewnętrznego do wewnętrznego. I mitowi rozgrywającemu się wewnątrz, pod osłoną stanu patologicznego i za pomocą stosownych metod, będzie dyktował warunki szaman”.

5. Wizerunek szamana

Słowo „szaman” posiada starożytny rodowód sięgający czasów sanskrytu, w którym ascetę określano mianem „śramana”. Bardzo możliwe jest pochodzenie rdzenia nazwy z narzecza tunguskiego, a za pośrednictwem języka rosyjskiego doszło do rozpowszechnienia jej po świecie. W różnych krainach określenie szaman nie zmienia merytorycznej roli społecznej ani charakteru działań, jakie on spełnia. W tradycji węgierskiej zwą go taltoszem, u meksykańskich Indian naguałem, który wcześniej u okrutnych Azteków zwał się nahualli. W puszczańskich plemionach Ameryki Północnej nosi imię curaco, a u Indian kolumbijskich kumu. W górach Kaukazu Gruzini i Dagestańczycy mówią nań kadaga. W dalekiej Japonii zbliżoną rolę wykonują miko, szamanki odprawiające rytualne tańce przed panteonem bóstw sintoistycznych. Po przeciwnej stronie Pacyfiku podobne zadania spełniają machi, szamanki Araukanów, a w Europie czuwale, węgierskie strażniczki kultu, znachorki, wróżbitki.

W szamanizmie mongolskim moc widzenia przyszłości i siła uzdrawiania spłynęły na człowieka za sprawą świętego orła – birkuta. Jego mistyczny związek z Ziemią zaowocował narodzinami chłopca, który po uzyskaniu wieku męskiego stał się pierwszym szamanem obdarzonym możliwościami ponadludzkimi, nieomal boskimi. Dokonywał cudów, wskrzeszał zmarłych, poskramiał i dowolnie ukierunkowywał siły przyrody. Jego następcy nie posiadali tak wielkiego rezerwuaru tajemnych mocy. Z tych względów dla rozwiązywania problemów udawali się w podróż do świata podziemnego, aby zasięgnąć tam rady od poprzedników w zawodzie. Pomocy w wędrówce udzielały im duchy opiekuńcze czos skjog oraz „muchomorowi ludzie”, czyli zjawy osób zmarłych po rytualnym spożyciu trujących grzybów. Taką skomplikowaną drogą odbywaną w transie szaman uzyskiwał wiedzę o przyszłości, którą my współcześni określamy mianem nekromancji. Po wyjściu z transu czy jego zakończeniu, znał już najlepsze sposoby leczenia, dokonywania słuszných wyborów, jak i przeciwdziałania niekorzystnym obrotom losu. Wracając na ziemię do własnego ludu szaman był nieomal zaprogramowany, wiedział kiedy trzeba przepędzić demony wysysające krew z noworodków i powodujące gorączkę połogową oraz jaką drogą sprowadzić z zaświatów duchy opiekuńcze. W wierzeniach ludów szamańskich podobną rolę jak mongolski orzeł spełnia również niedźwiedź, wilk i wydra.

W Meksyku, w miejscowości Creel, spotkałem Indian z plemienia Tarahumara osiadłych wokół kanionu Barranca del Cobre, zwanego też Copper-Canion. Byli prymitywnymi prawie animistami, obok których przez ostatnie dwieście lat funkcjonowała misja jezuicka. Odwiedziłem zakonników w trakcie przenosin dobytku w inne miejsce, gdzie głęboko w Amazonię. Spytałem, czy przeprowadzka spowodowana jest zrealizowaniem celów, jakie dawno temu postawili ich poprzednicy. Ponura odpowiedź wprawiła mnie w zdumienie. „Odchodzimy stąd, bo nie potrafimy – tak jak ich szaman – na żądanie sprowadzać deszczu, a ci Indianie wierzą jedynie w to, co sprawdza się natychmiast”.

Jezuici zostawili po sobie chylący się ku ruinie kościółek bez podłóg, na ołtarzu którego niedawno Indianie „za karę” odarli z szat – obowiązkowych w krajach hiszpańskojęzycznych – figurę Jezusa i postawili ją twarzą do ściany. Zderzenie Manitou i Orendy z Chrystusem i jezuitami w końcu XX wieku wywołało we mnie podobną burzę uczuć, jakiej chyba doznali Levi-Strauss i etnografowie ostatniego stulecia.

Sama procedura wprowadzania człowieka w trans zawsze była specjalnością lokalną. Awenkowie, Mongołowie, Jakuci i Czuczczowie posługiwali się w tym celu świętym grzybem szamańskim, czyli muchomorem czerwonym. Nie sposób ocenić, w jaki sposób ustalali właściwą dawkę – śmiertelnej przecież – trucizny po to, by trans przeżyć, a co więcej, by przetrwać przez długi czas bez cech ciężkiego uszkodzenia wątroby. Może znali środki osłonowe lub antidota?

W Ameryce Południowej podobną rolę spełniał święty kaktus peyotl i halucynogenne grzybki nanagalt. Na terenie Indii stosowano konopie, marihuanę oraz wilczą jagodę. Indianie Keczua używali „wina zmarłych” o nazwie ayahuasca, zaś kapłani voodoo na Haiti – trucizny uzyskanej z ryby fugu. W górzyskiej części Amazonii, Peru i Kolumbii podobną funkcję spełniają wywary z koki.

W obrzędach szamańskich ważną rolę odgrywały kamienie, wśród nich okazy kryształu górskiego i ametystów, a nawet szmaragdów. Na rozległym obszarze Syberii powszechnie wierzone, że sastun – magiczny kamień – posiadał moc ukazywania rzeczy przeszłych, teraźniejszych i przyszłych oraz odnajdywania ukrytych skarbów. Wśród Jakutów podobne przymioty przypisywano kamieniom o nazwie sita, u Mongołów – zada, zaś wśród Turków – jada. Stare przekazy mówią, iż kamienie te miały dodatkową właściwość wywierania dobroczynnego wpływu na zjawiska atmosferyczne oraz skutkowały sprowadzaniem deszczu.

Niezbyt daleka droga dzieli wiarę o sprawczej sile owych minerałów od magicznej roli, jaką spełniać miał kamień filozoficzny, niezbędny alchemikom i do transmutacji metali, i uzyskiwania wiecznej młodości. W przedruku średniowiecznego podręcznika magii znalazłem odszyfrowany czterowiersz:

Lapsis exillit – Graal – spadło z wygnania – Graal.

Lapit ex caelis – kamień z niebios.

Lapsis ex caelis – spadło z nieba.

Lapsis elixir – kamień filozoficzny.

Nie wiemy do końca, co i komu chciał przekazać autor tych tajemniczych słów, których pochodzenie może być odwieczne; czy był różokrzyżowcem, albigensem, katarzem, a może kabalistą, który – podobnie jak czarownicy i szamani – uczestniczył w niekończącym się łańcuchu wtajemniczeń, trwającym po czasy współczesnej nam masonerii. W każdym, nawet najdrobniejszym ich ogniwie, niezależnie od okresu historii, uzyskanie gnozy zawsze przebiegało przez ascetyczne praktyki, etyczny purytanizm oraz rozgraniczenie materii i ducha celem zyskania doskonałości. Aby w tę procedurę uwierzyć, trzeba pojechać do Tybetu. Poza szokiem kulturowym można tam zrozumieć wszystko, co toczy się w obszarach ściśle ezoterycznych. Byłem, widziałem, i wywarło to na mnie wrażenie jedno z większych w życiu. Zaś wracając do szamanizmu oglądane chłodnym okiem lekarza, sądzę, że w znacznej części mieści się on w obszarze medycyny i magii oraz zjawisk psychicznych różnych kultur, które w miarę przetaczania się szprych zawartych w Mandali – kole dziejów – ulegały cyklicznemu włączaniu w religie.

6. Rytuły szamańskie

Rytuał wtajemniczenia w szamanizmie zawsze składał się z trzech podstawowych aktów, które musiał przejść każdy adept w celu uzyskania kosmicznego doświadczenia i ponadludzkiej świadomości. Zasadniczą triadę stanowiły: cierpienie, śmierć i odrodzenie, owocujące nabyciem możliwości widzenia szlaków metapsyichicznych niedostępnych śmiertelnikom.

4 tysiące lat temu – a może i znacznie, znacznie wcześniej – podobną drogę przemian przechodzili egipscy faraonowie Starego i Średniego Państwa w misteriach mających genezę w najstarszych kultach, być może nawet atlantydzkich. Ceremonia wtajemniczenia w odbiorze społecznym wszystkich klas musiała być niesłychanie ważna, gdyż jako jedna jedyna dawała pełną legitymację sprawowania władzy, będąc w istocie procesem konsekracji za życia panującego. Żaden z dynastii Królów Hyksoskich – najeźdźców władających Egiptem przez kilkaset lat – nie dostąpił takiego zaszczytu mimo presji i próśb. I nigdy nie przeszedł wtajemniczenia, które wcześniejszym faraonom pozwalało na szamańskie wejście do Krainy Zmarłych i zobaczenie stamtąd własnej smugi cienia już nie okiem człowieka, lecz następcy Ozyrysa.

W czasach najnowszych szczególnie ukryte przed okiem profanów istnieją ceremonie o podobnej naturze, towarzyszące wyborom wielkich mistrzów masonerii najwyższego, bo 33 stopnia. Są poglądy, że wielotysiącletnia tradycja wolnomularska, dotycząca procedury tych obrzędów, bierze początek od morderstwa faraona o imieniu Sekenenre, noszącego biblijne imię Hirama-Abifa.

Problem życia po życiu, cierpienia, przemijania i odrodzenia towarzyszy również wszystkim znanym religiom monoteistycznym z tą różnicą, że istnieje szereg dobrze umotywowanych doniesień, mówiących, że w szamanizmie dokonywano procedur prawdziwej śmierci rytualnej, które wcale nie były wyjątkowe. Istniały bliżej nieznanne ceremonie, dotyczące etapów zabijania człowieka składanego w ofierze. Znacznie częściej jednak sakryfikacja dotyczyła zwierząt. Nawet współcześnie na oczach wiernych odbywa się ona nadal w Nepalu i Indiach, gdzie wśród tłumów bramin jednym cięciem rytualnego miecza odrąbuje głowy czarnych kozłów, a pulsującą krwią – tryskającą z tętnic w rytm zamierającego serca zwierzęcia – spryskuje ołtarz. U biednych a potrzebujących podobną rolę często spełnia kogut.

Istnieje mnogość poglądów przypisujących rolę składania ofiar z ludzi opisanym wcześniej muchomorowym ludziom, wybranym wśród członków syberyjskich plemion w celu ostatecznego prześlągnięcia złych mocy i odwrócenia epidemii chorób, głodu lub klęsk żywiołowych. Można sądzić, że w ogromnej większości przypadków mord rytualny był skrajną ostatecznością, na którą decydowała się zbiorowość myśliwsko-pasterska, lecz wykluczyć nie można, iż niekiedy był to okrutny zabieg socjotechniczny, sprowokowany przez szamana, a służący ugruntowaniu jego pozycji. Nie trzeba szczególnie uruchamiać wyobraźni, aby pojąć, jak ogromny musiał być ładunek emocji i oczekiwań, ujawniających się z chwilą składania ofiary z osoby wybranej spośród członków plemienia, ofiary, która musiała być całkowicie skuteczna i zapewne była!